

magret Stanisław Siadło, Bohatyrowice

Helena Fiejtek

z d.Gieda

ul.Gajowa 76 m.43.

© ARCHIWUM WSKHOONNE

Urodziłam się w 1925 roku we wsi Kodziowce k.Grodna, odległej o trzy kilometry od miasteczka Sopoćkinie. Mieszkali tu wyłącznie Polacy podobnie jak i sąsiednich miejscowościach. Moi rodzice posiadali sześć hektarów gospodarstwo rolne. Ojciec był człowiekiem wyjątkowo pracowitym i zapobiegliwym gospodarzem. Jednakże o naszej deportacji zdecydował prawdopodobnie fakt, że moja matka pochodziła z hrabiowskiej rodziny Grabowskich. Reszty dopełnił domos. Tak przynajmniej mówiło się w naszej rodzinie. Miałam sześć siostr, z których dwie były zamężne, nie mieszkały razem z nami i dlatego uniknęły wywózki.

Przyszli po nas 10-go lutego 1940-go roku o godzinie drugiej w nocy, w czterdziestostopniowy mróz. Przeprowadzili gruntowną rewizję i nic kompromitującego nie znaleźli. Kazali ubierać się, bo czeka nas przesiedlenie. Ojciec nie wytrzymał: "mówcie prawdę, wywozicie nas na Syberię." "Skąd pan o tym wie?", spytali wyraźnie zaskoczeni. "Ja to czuję - odparł ojciec - wielu Polaków trafiło na Syberię a ja nie będę pierwszy."

Pośpiesznie ubraliśmy się, chwyciliśmy cokolwiek do jedzenia i podstawionymi saniami pojechaliśmy pod konwojem do odległego o sześć kilometrów urzędu gminy w Łojkach n. Niemnem. Trzy kilometry dalej znajduje się majątek Bohatyrowicze, opiewany przez Elizę Orzeszkową w "Nad Niemnem". W gminie coś zapisano a następnie odwieziono nas do Grodna na dworzec kolejowy. Tu staliśmy trzy dni w bydłych wagonach / w siarczysty mróz / czekając na skompletowanie transportu. W wagonach średniej wielkości lokowano po 30-35 osób a w dużych, zwanych przez nas żartobliwie "pulmanami", do 60-ciu. Wnętrze wagonu było typowe: drewniane prycze, żelazny piecyk / opału nie dano / i dziura w podłodze w wiadomym celu. W czasie transportu na wagon dawano wiadro wody i wiadro zupy na dobę. Ci, którzy zdążyli

zabrać z domu coś do jedzenia, byli w nieco lepszej sytuacji.

Podróż trwała do 4-go marca. Pociąg zatrzymał się w miejscowości Kwitok k. Irkucka /60 km/, 40 km od Tajszetu. Nazwa Kwitok pochodzi prawdopodobnie od tego, że okolica słynęła z pięknych kwiatów. Tak utrzymywali miejscowi, też zesłańcy. Pobliska miejscowość Żołotaja Gora swoją nazwę wywodzić miała od tego, że w przeszłości pracowali tu więźniowie-Polacy, którzy, przykuci do taczek, kopali tu złoto. Nazwa trzeciej miejscowości - Toporok - ma również ponurą genezę: tu ścinano skazańcom głowy toporem. Tak twierdzili zesłańcy, których zastaliśmy tu po naszym przyjeździe. Ich wkrótce wyewakuowano w głąb tajgi. Tam, na zupełnym pustkowiu, musieli od podstaw budować sobie obóz. Kwitok leżał "na końcu cywilizacji". Tu kończyła się linia kolejowa.

Przywiezionych Polaków zatrudniono przy wycince drzew, przeróbce ich w miejscowym tartaku, załadunku na wagony i ekspedycji w stronę centralnej Rosji. Funkcjonował tu szpital, piekarnia i tzw. katałazka czyli wewnętrzne więzienie obozowe. Zakwaterowano nas w barakach/baraków było 49/ średnio po 23 rodziny w każdym. Według nieoficjalnych danych mieszkało tu jednorazowo około 10 tys. więźniów. Przybliżone potwierdzenie tej liczby uzyskałam nieco później, pracując w stołówce przy wydawaniu talonów na zupę.

Posiłek więźnia składał się z zupy zwanej "szczy". Był to kapuśniak ale raczej z nazwy, gdyż przy jej sporządzaniu zachowywano proporcję: jedna głowa kapusty na olbrzymi baniak wody. Na drugie danie podawano gęstą kaszę owsianą. Miarą porcji zarówno zupy jak i drugiego dania była łyżka wazowa. Czasem, wyjątkowo, do drugiego dania dodawano łyżkę oliwy. Zasadą jednak były porcje suche. Masła nigdy nie widzieliśmy. Kto wykonywał normę, otrzymywał 0,5 bochenka chleba.

Praca w stołówce przynosiła ten podstawowy profit, że zawsze

można było coś ukraść do jedzenia". Pod tym względem nasza rodzina biedy nie miała: nikt nie był głodny. Oprócz mnie, przy jedzeniu - bo w piekarni, pracowała moja siostra. Druga z sióstr - Stanisława - pracowała w innej, tzw. "ruskiej" stołówce, gdzie stołowali się funkcjonariusze NKWD. Tam wyżywienie było zupełnie inne, często bywało mięso. W stołówce przepracowałam rok i siedem miesięcy.

Ojciec znalazł pracę jako kierownik na tzw. koniuszni, gdzie doglądano koni niezbędnych do funkcjonowania obozu. Bez pracy pozostawały jednak trzy osoby: dwie nieletnie siostry oraz ciągle schorowana matka /zmarła po powrocie do Polski, w 1965r/. Te trzy osoby nie otrzymywały nic, żadnych przydziałów, trzeba je było wykarmić. Tym cenniejszą była dla nas ta okoliczność, że pracowałyśmy w stołówkach i w piekarni.

W pracy nie istniał zegar. Pracowało się od wschodu do zachodu słońca. Bardzo często po pracy, gdy śłaniałyśmy się ze zmęczenia, urządzano nam zebrania, na które nie można było nie chodzić. W 1941 roku wzmogła się presja na przyjmowanie radzieckiego obywatelstwa. Za odmowę groziła kara do dziesięciu lat więzienia. Męczono nas nieprzerwanie przez kilka miesięcy. "Polska rozpadła się jak gliniany garnek, Polska nigdy nie wróci, Polski nigdy nie będzie". "Tu zostaniecie na zawsze." A my, prawie wszyscy, mieliśmy zawsze tylko jedną odpowiedź: "Nie." Ale nie wszyscy. Powody były różne: strach oraz pewne widoki na polepszenie swojej sytuacji, swojej nędzarskiej doli. Rodzina pp. Parfieniuków przyjęła obywatelstwo i wkrótce mogła przystąpić do budowy własnego domu. Z nas śmieli się, że w swoim uporze gnieździły się w przepełnionych barakach i że gryzą nas pluskwy, co zresztą było całkowitą prawdą.

Po jakimś czasie zwołano kolejne zebranie i ku naszemu zupełnie zaskoczeniu zmieniono zupełnie tonację: Polska napewno będzie, możemy wyjechać i osiedlić się gdzie tylko zechcemy z wy-

jątkiem miast pierwszej kategorii. Oniemieliśmy z wrażenia tym bardziej, że nie znaleźliśmy rzeczywistej przyczyny tej nagłej zmiany stosunku władz sowieckich do nas. Dopiero po latach skojarzyliśmy to z umową Sikorski-Majski z 30 lipca 1941-go roku. Czym prędzej pobraliśmy u miejscowych władz stosowne zaświadczenia i wspólnie z dziewięcioma innymi rodzinami ruszyliśmy pociągiem w stronę Europy. Postanowiliśmy jechać "do końca". Stało się to w Pietropawłowsku w Kazachstanie, gdzie nas najzwyczajniej wyrzucano z pociągu.

Należało szukać dachu nad głowę i oczywiście pracy. O tworzeniu się Armii Andersa nie mieliśmy żadnego pojęcia i nieprędko o tym się dowiedzieliśmy. Schronienie znaleźliśmy u rosyjskiej rodziny, która zajmowała jednoizbową chatę. Tam znaleźliśmy mieszkanie razem z dwiema innymi, siedmioosobowymi rodzinami. W sumie, w jednej izbie gnieździło się 19 osób.

Ponieważ nie ciążyło na nas odium więźnia, za pracę nam płacono. Ojciec znalazł zatrudnienie w stołówce przedszkola, siostra Stanisława w szpitalu jako laborantka, druga siostra w fabryce walców a ja w biurze fabrycznym jako telefonistka. W czasie moich tam dyżurów często przychodziła do mnie siostra, bez specjalnego powodu, po prostu porozmawiać. Wielokrotnie przesiadywał z nami staruszek księgowy; nic nie mówił, tylko siedział. Swoim zachowaniem budził nasz niepokój. Zastanawialiśmy się, czy to nie prowokator jakiś czy może szpicel. Pewnego razu tama pękła; przychodził posłuchać mowy polskiej, ponieważ sam był Polakiem-zesłańcem, skazanym na dożywocie. Trzykrotnie uciekał z zesłania i trzykrotnie go złapano. Nic więcej nie powiedział o sobie. Wyglądało na to, że pogodził się ze swoim losem. Tu zresztą miał swój dom. Było to w 1942 roku.

W tym samym, 1942 roku w październiku słuchałam przez radio dramatycznego przemówienia Stalina, w którym nakazywał otworzyć

cerkwie i rozpocząć modły w intencji zwycięstwa. W Pietropawłowsku opróżniono jedną z cerkwi -dotąd służyła jako magazyn- szybko znaleźli się duchowni prawosławni, szaty i naczynia liturgiczne. Na nabożeństwa przychodziło bardzo dużo ludzi.

Ludność miejscowa właściwie ludnością miejscową nie była. Stanowili ją zesłańcy z lat trzydziestych; Ukraińcy, Polacy i inni. W pobliżu Pietropawłowska funkcjonował, wyjątkowo sprawnie, kołchoz, w którym pracowali tylko Niemcy. Innych nacji nie przyjmowali. I oni i Ukraińcy czekali niecierpliwie na zwycięstwo Niemców. "Wreszcie skończy się głód", mówili. Ale młode pokolenie było już inne: wychowane tylko w tym świecie, przesiąknięte ideologią komunistyczną, z oddaniem śpiewało "Sziroka strana maja radnaja". Gdy tu przyjechaliśmy, szkoły prawie nie funkcjonowały a całkowity analfabetyzm wśród poborowych był zjawiskiem powszechnym.

Z nami przebywały rodziny polskie:

- pp. Przewłodzkich - matka, dwie córki i syn, który w 1943 roku dotarł do 1 Dywizji Piechoty im. T. Kościuszki, w której dosłużył się stopnia porucznika a w czasach pokojowych awansował do stopnia pułkownika.
- pp. Tomaszczuków - 7 osób.
- p. Helena Czarniecka z ojcem.
- rodzina pp. Zarzeckich - matka, syn i dwie córki. Jedna z nich /starsza-Janina/ została później żoną Stanisława Radkiewicza, późniejszego, niesławnej pamięci, ministra Bezpieczeństwa Publicznego, jednego z głównych winowajców zbrodni stalinowskich w Polsce. Zmarła w Polsce ok. roku 1960-go. Przez cały czas, po wojnie, panicznie bała się ponownej deportacji do Rosji. Była porucznikiem WP. Pochowano ją na warszawskich Powązkach, obok grobu gen. Karola Swierczewskiego jako Janinę Radkiewicz z d. Zarzecka. Była matką dwóch synów.

- rodzina Wołoncewiczów - matka z dwiema córkami.
- rodzina Lalko - dziadkowie/2/, małżeństwo, siostra i dziecko.
- rodzina Matwiejczuków - 2 osoby.

Wśród nas byli też bracia Wasiet /z Lidy/. Starszy z nich /później zginął/ opiekował się swoim kilkuletnim bratem. Sam miał lat 17. Liczne też było grono żon wojskowych z dziećmi.

Pod koniec 1942-go roku /październik/ wyraźnie zmieniła się atmosfera wokół nas, Polaków. Zatarg z Andersem a następnie ewakuacja jego wojska do Iranu sprawiły, że zewsząd otaczała nas nieskrywana wrogość. Wreszcie wyrzucono nas z Pietropawłowska, dając na opuszczenie miasta - w środku zimy - 24 godziny. Ojciec zapakował do worka bochenek chleba i ruszył, po raz kolejny, w poszukiwaniu pracy. Po tygodniu znalazł zajęcie w pobliskim kołchozie, zwanym "45" -/"sorok piat"/, w którym prezydentem był Polak /z pochodzenia/. Zatrudniono nas przy młóceniu zboża. Mieszkaliśmy u rodzin, z których mężczyźni poszli na wojnę. Tak przemęczyliśmy się od października 1942-go roku do marca 1943-go. Kiedy przyszło do wyliczenia naszego zarobku okazało się, że nie tylko nic nie zarobiliśmy ale jeszcze mamy dług wobec kołchozu. Należało czym prędzej rozstać się z takim pracodawcą.

Zatrudnienie znaleźliśmy w sowchozie /odpowiednik naszego PGR/, w którym wynagrodzenie wypłacano w pieniądzu. Przyjęto nas chętnie, bo w czasie wojny rąk do pracy brakowało. Sowchoz posiadał dwa traktory i dwa kombajny i zajmował się uprawą "polanek". Były to uprawne pola w środku tajgi o powierzchni 20-30 ha każde. Należało te pola zaorać i zasiać. Z pewnymi przygodami ukończyłam kurs traktorzystek /wspólnie z Przemysławem Przewłodzkim/ i 15 kwietnia 1943 roku wyjechałam z brygadą na orkę "polanek" odległych o 20 km. Na polach leżała jeszcze dwumetrowa warstwa już nieco podtopionego śniegu. 25 kwietnia wypadła Wielkanoc. Postanowiliśmy, część brygady, wrócić do sowchozu aby się najeść.

Ubrani w drewniaki, spodnie waciaki, kufajki i czapki-uszanki rozpoczęliśmy marsz. Wkrótce pogoda się pogorszyła i sytuacja stała się dramatyczna. Na szczęście przejeżdżający Kozak zawiadomił mojego ojca, który wyszedł nam na spotkanie. Gdy go zobaczyłam, zemdlałam. Ojciec nas wtedy niewątpliwie uratował.

Wkrótce pojawił się rozwścieczony dyrektor sowchozu. W końcu jakoś sytuację załagodzano: nakarmiono nas, dano prowiant m.in. bardzo gorzką mąkę z zawartością piołunu i przyznano dwa dni odpoczynku. Wkrótce przystąpiliśmy do prac polowych, które miały trwać do 15-go października. W tym czasie ojciec pracował jako kierownik budowy, starsza siostra w polu jako mierniczy, druga w ogrodnictwie a trzecia doila krowy. Za wykonanie normy dziennej otrzymywaliśmy 0,5 kg chleba i 0,5 litra mleka.

W połowie 1943-go roku ojciec zgłosił się do wojska, ponieważ rozpoczęło się formowanie 1 DP im. T. Kościuszki. Jednakże komisja zdyskwalifikowała go jako ~~in~~walidę niezdolnego do służby wojskowej /brak palca w lewej ręce/. Skierowano go do armii pracy /trudooarmii/, ale ojciec wyjednał u lekarzy zaświadczenia, że i tam nie może być wcielony. Zdenerwowane władze zamknęły go w więzieniu, przygotowując mu proces jako byłemu wojskowemu. Okrutne śledztwo z torturami trwało 3 miesiące. Wreszcie sądowy trybunał wydał wyrok śmierci przez rozstrzelanie. W tym samym procesie nasz znajomy, Polak, p. Lalko otrzymał wyrok 15-tu lat więzienia.

Wówczas, nie mając nic do stracenia, udałam się do Wandy Wasilewskiej, która akurat wówczas tu przyjechała. To właśnie ona poradziła mi napisać wniosek o apelację. Po dwóch ~~dnach~~^{minutach} otrzymałam od niej wiadomość / z Moskwy, wiadomość o charakterze prywatnym /; nie martw się, odbędzie się ponowna rozprawa. Przez ten cały czas ojciec przebywał w celi śmierci ale u władz więziennych wyjednałyśmy to, że mogłyśmy mu przynosić obiady. Ponowna rozprawa za-

Moja siostra Stanisława, już jako mężatka, wstąpiła do wojska razem ze swoim mężem /Józef Mirocznik/. Służbę rozpoczynali w Riazaniu. W czasie działań wojennych ona była sekretarką w sztabie a on fryzjerem. Po wojnie osiedlili się we Wrocławiu. Oboje już nie żyją.

Ja z rodziną wyruszyłam do Polski w Wielkanoc-25 kwietnia 1946 roku. Do Polski /do Szczecina/ dotarliśmy dokładnie po miesiącu - 25 maja. Na swoje tereny / Grodzieńszczyzna/ wrócić oczywiście nie mogliśmy. Później przenieśliśmy się do Wrocławia, gdzie w 1947 roku - wszystkie trzy siostry wyszłyśmy za mąż. W 10 lat później - w 1957 roku przeniosłam się z mężem do Białegostoku. Mąż pracował w elewatorze w Starosielcach /przeniesiony tu służbowo/ a ja w Wojewódzkim Domu Kultury przy ul. Malmeda 10 /biura przy ul. Kilińskiego 8/. Obecnie jestem na emeryturze.

Notatki Stanisławy Siostry

Moja siostra Stanisława, już jako mężatka, wstąpiła do wojska razem ze swoim mężem /Józef Mirocznik/. Służbę rozpoczęli w Riazaniu. W czasie działań wojennych ona była sekretarką w sztabie a on fryzjerem. Po wojnie osiedlili się we Wrocławiu. Oboje już nie żyją.

Ja z rodziną wyruszyłam do Polski w Wielkanoc-25 kwietnia 1946 roku. Do Polski /do Szczecina/ dotarliśmy dokładnie po miesiącu - 25 maja. Na swoje tereny / Grodzieńszczyzna/ wrócić oczywiście nie mogliśmy. Później przenieśliśmy się do Wrocławia, gdzie w 1947 roku - wszystkie trzy siostry wyszłyśmy za mąż. W 10 lat później - w 1957 roku przeniosłam się z mężem do Białegostoku. Mąż pracował w elewatorze w Starosielcach /przeniesiony tu służbowo/ a ja w Wojewódzkim Domu Kultury przy ul. Malmeda 10 /biura przy ul. Kilińskiego 8/. Obecnie jestem na emeryturze.

Notatki Stanisławy Szapko